Rozmaitości

Dnia 29. Lipca **Nr 30.** 1837 Roku.

KYTRIE WANDEJKA.

Powiastka.

Byłoto r. 1806 na gościńcu Bretanii: w kurzawie prochu pędzący powóz pocztowy zatrzymał się nagle, a dwóch mężczyzn wysiadłszy rzekło do postyliona: »Zostaw nas tutaj, droga do zamku Kersay nie jest do przebycia powozem, pójdziemy piechoto. Powiédz tylko, którędy udać się mamy.«

»To panie pułkowniku,« odpowiedział postylion, »nie jest tak łatwo. Czy widzi pan tę małą wioskę, gdzie tyle zwalonych murów i chaty jak kupy kamieni wyglądają; przez tę włość i jeszcze przez drugą iść trzeba, chcąc się dostać do zamku; po drodze można włościan się spytać. W tych stronach sprawia to ludziom przyjemność, gdy podróżnemu usłużyć w czém mogą, a zwłaszcza takim jak wielmożni panowie przystojnym i znacznym panom.«

»Aha, rozumiém; chcesz, by cię za tę grzeczność znacznie wynagrodzono,« rzekł jeden z podróżnych; »oto masz poczesne, godne tytułu, który nam dajesz, a teraz zostaw nas samych i wracaj.«

Postylion podziękował, nazwał podróżnych jaśnie oświeconymi książętami, i zabrał się do powrotu. Tymczasem żaden z podróżnych nie był książęciem; jeden słusznego wzrostu, młody, ładny mężczyzna był pułkownikiem i majestatycznie wydawał się w złotem haftowanym mundurze. Nazywał się Ludovic, a młodszy towarzysz jego Dorlay, był także oficerem. Obaj jechali z bardzo ważném zleceniem.

»Czy wiesz,« rzekł Ludovic do Dorlaja, »dla czego powóz pocztowy odesłałem.«

»Zapewne z przyczyny, którą przed postylionem wymieniłeś.«

»O nie, wcale nie, mógł był nas inną drogą poprowadzić do zamku, ale ja chciałem przechodzić przez te wioski, pałałem niecierpliwością odwiédzenia miejsc, których we mnie tyle przypomnień pozostało.«

»Przypomnień! zapewne blizny, które tutaj w téj okropnéj wandejskiéj wojnie odniosłeś?«

»O! ta wojna była w istocie okropną; w niéj tylu walecznych utraciłem przyjaciół, w niéj ojciec, w niéj bracia moi padli przy moim boku! O! w niéj byłbym i ja padł ofiarą śmierci, gdyby nie pomoc pewnego dziecka, ślicznéj młodziutkiéj dziewczynki.«

»Nigdyś mi o tém nie rozpowiadał. Śliczna dziewczynka!... No, opowiédzże, opowiédz, to mnie zajmować będzie.«

»Tak jest, zupełnie dziecko jeszcze, ładna, miła, ale jak na nieszczęście Wandejka.«

»I cóżto szkodzi!« odparł Dorlaj. »Kiedy mowa o ładnéj dziewczynie, natenczas wszystkie barwy polityczne są mi równe. Lubię kobiétki pod jakimkolwiek królem i w jakimkolwiek znajdują się kraju. Ale jak się to stało, że ona tobie uratowała życie, tobie, żołniérzowi rzeczypospolitéj?«

»Nie wiém dla czego to uczyniła, ale uczyniła jednak; posłuchaj: Wiadomo ci, z jaką zaciętością prowadzono wojnę w Wandei. Przesadzano się w odwadze i waleczności. Staczano bitwy, ażeby poledz na placu i z żadnéj strony nie zabiérano jeńców. Ranny dostałem się w moc nieprzyjacioł. Jeden z ich naczelników rozkazał, ażeby mnie dobito; na to zawołałem: »Matko moja!« Byłato jedyna myśl zajmująca mnie w onéj chwili i z poddaniem się oczekiwałem przeznaczonego mi losu. Obecna temu młoda dziéwczynka, przystąpiwszy do naczelnika, rzekła prosząc: »O bracie,

on ma matkę! Każ go puścić, ranny i tak wam umrze! O, proszę cię o to! Patrz jak jest słaby, już naszych zabijać nie będzie!« Głos jéj tak był błagalnym, tak wzbudzającym litość, że się z wykonaniem mordu wstrzymano. Dowódzca pojrzał na siostrę, odprawił żołnierzy, a odchodząc rzekł z cicha: »Ratować go nie mogę, ale mogę śmierć mu ułatwić.«

»Znajdując się sam na sam z dziewczynką osypałem całusami jéj rączki, któremi białą chusteczkę, okrywającą śnieżne jéj piersi, rozdarłszy, zatrudniała się zawiązaniem głębokiéj rany, jaką na ramieniu odniosłem. Potém rzekła do mnie: »Pójdź panie do naszéj chaty, poznasz matkę moję; ona jest tak dobrą, pójdź panie! ona ci nie odmówi gościnności. Tam będziesz bezpiecznym, a sam mój ojciec bronić cię będzie, odkąd naszym gościem zostaniesz.« — »Alež twój ojciec jest Wandejczykiem,« rzekłem do niéj, »on nienawidzi republikanów!« — »Tylko na placu bitwy, bo mu to król każe, lecz czuwa nad nieprzyjacielem, któremu dał przytułek w swéj chacie, gdyż mu to Bóg jego nakazuje.«

»Prowadzony przez tego anioła przybyłem do chaty, gdzie cnota, religija, miłosierdzie i prostota tron założyły. Poznałem matkę mojéj wybawczyni, dobrą, zacną niewiastę, któréj twarz była spokojną i łagodną, jak modlitwa. Pielęgnowała mię z najtkliwszą starannością, nie pytając się kto jestem. Jak długo nie doznałem ulgi w boleściach, które mi rana sprawiała, przebywałem w ich chacie mając zawsze koło siebie moję kochaną małą Kytrie (tak się owa dziewczynka nazywała). Nie widziałem w życiu naturalniéjszéj, łagodniejszéj i z większą szczérotą postępującéj istoty, jak była ta młoda Wandejka. Miała może wtedy lat czternaście. Jéj wzrost, kibić, zgoła wszystko znamionowało bardzo młodą dziewczynkę; nie rozwinęła się jeszcze w dojrzałą kobietę, ale jéj rozum był dojrzały. Wiedziała, albo raczéj zgadywała wszystko, nie będąc wcale ukształconą. Žadnego nie odebrawszy wychowania, była jednak tak do nauki pochopną i ciekawą, że np: czytać nauczyła się przez czas ten krótki, jak przebywałem w ich chacie. Z rzadkiém pojęciem rzeczy i z nadzwyczajną do oświecania się chęcią, korzystała ze wszystkiego, com jéj mówił lub pokazywał. Wrodzona pobożność w niczém bynajmniéj nie ujmowała pełnym uroku cnotom jéj duszy, byłato raczéj prawdziwa religija, która wypływała z jéj serca. Biedne dziecko! Jak lubą tchnęła szczérotą! Potrzebujęż mówić ci jeszcze, że sądzę, iż się w niéj zakochałem.«

»Co, w dziecku?« przerwał Dorlay.

»Tak jest, w dziecku. Kochałem ją inaczéj, jak się kocha dorosłą dziewczynę, nie dla jéj powabów, nie dla urody — kochałem ją, jak matka dziecko swoje kocha.«

»I cóż, oświadczyłeś się jéj?«

»Nie byłaby mnie zrozumiała, ale posłuchaj rozmowy, jaką z nią miałem, wieczorem przed moim odjazdem: »Moja kochana Kytrie! muszę odjechać, lecz co mnie najwięcéj boli, to ta okoliczność, że będąc ubogim, nic przy rozstaniu się z wami dać wam nie mogę za waszę koło mnie staranność, iżbyście sobie chatę waszę wyporządzić mogli.« — »O my niczego nie potrzebujemy, nawet lepiéj, że jesteśmy ubodzy, inaczéj chatę naszę pewnieby spalono w téj wojnie. Ale nie należało mi tego mówić, pamiątka serca nie wiele kosztuje, na to nie potrzeba pieniędzy, i nie ma podczas wojny niebezpieczeństwa, ażeby nam ją wydarto.« — »Co do pamiątki,« rzekłem, »będę zawsze o tobie pamiętał, czuję to moja dobra Kytrie, bo cię kocham.« — »O! co za szczęście!« zawołała skacząc z radości i klaszcząc w rączki. »Ja pana kocham także,« choć jesteś republikaninem. Gdyby mój ojciec wiedział o tém, dobrzeby mnie za to wyłajał. Zdaje mi się, jak gdybym pana dawno już znała, i tak mi jest miło przy tobie, jak gdybyś był bratem moim. Gdyś mówił wczoraj, że chcesz się oddalić, poszłam do mojéj izdebki i rzewniem płakała, bo cię już może nigdy nie obaczę. Pan nas nie kochasz, gdyż zasady nasze odmienne.« — »Nie płacz Kytrie, zapewniam, że niezawodnie powrócę. Może będę kiedy bogatym, a wtedy, ale musisz mi przyrzec, że będziesz czekać na mnie; teraz jeszcześ dziecko — zapomniesz o mnie, o wiém to z pewnością.« — »Co, ja dziecko?!« odparła i stanęła na palcach, »wkrótce zacznę rok pietnasty. Patrz pan na tę różę, jest ona z krzaczka, który sama wypielęgnowałam. Z niéj poznam, czy o mnie zapomniałeś.« Uśmiechnąłem się, ona spostrzegłszy to rzekła: »O wy żołniérze, wy się z wszystkiego śmiejecie.« — »Jakże

kochana Kytrie poznasz z róży, czy o tobie pamiętam?« — »Posłuchaj: Kładzie się różę do pudełeczka i przechowuje na pamiątkę oddalonej osoby. Jak długo ta osoba pamięta o nas, ostatnie trzy listki nie odpadną; gdy już jeden zaczyna odpadać, złyto znak, a wszelka nadzieja o pamięci znika, skoro ostatni odpadnie.« — »Dobrze,« rzekłem, »ja ci ręczę, że się na twojéj róży wszystkie trzy listki utrzymają.«

»Chwila rozstania się nadeszła. Pożegnawszy się z Kytrią i jéj zacną matką, odjechałem. Kytrie stała na gościńcu jak długo dojrzéć mnie mogła, a ja obracałem się także za tém lubém dziewczęciem, dopokąd mi z oczu nie znikło. Jest temu teraz lat pięć; wiele zdarzeń upłynęło od tego czasu; awansowałem pod Napoleonem —«

»A o twojéj małéj Kytrie nie zapomniałeś?« przerwał Dorlay.

»Nie, lecz nie miałem sposobności ni czasu wywiadywania się o nią; tylko sobie przypomniéć mogę, że się to w jednéj z tych wiosek wydarzyło.«

Dwaj przyjaciele rozmawiając tak z sobą szli od włości do włości, zapomniawszy zupełnie, którą im postylion wskazał drogę. Spostrzegłszy, że błądzą, umyślili zapytać się którego z włościan. Wstąpiwszy do poblizkiéj chaty, zastali rodzinę włościan, klęczącą w modłach przed obrazem Boga Rodzicy. Rodzina ta składała się ze 4letniego dziecka, ze starca i staruszki. Wszystko troje powstali za wejściem podróżnych. Ludovic zapytał starca o zamek Kersay. Starzec otarł łzę z oka i wskazał drogę, częstemi westchnieniami przerywając mowę.

»Co wam jest?« zapytał Ludovic, »czy się jakie nieszczęście wydarzyło? Mówcie! Może potrzebujecie wsparcia? Przestańcie rozpaczać, moja kiesa jest dla was otwartą.«

»Dzięki wam zacny panie,« odrzekł starzec, »jesteśmy biédni, to prawda, ale byłobyto niczém jeszcze; nas większe dotknęło nieszczęście, na które bogacze żadnéj nie mają pomocy i sam Bóg tylko pomódz może; dla tego modlimy się panie.«

»Jednakże wolnoż wiedzieć?«

»Wejdź pan tutaj,« rzecze szlochając starzec, powiedzieć tego nie jestem ci w stanie.«

Podróżni weszli za starcem do małego alkierza, którego ściany były obrazami świętych okryte. U głów stojącego tam łoża zastali wiekiem pochylonego kapłana, którego drżące ręce zaledwo różaniec utrzymać mogły. Starzec rzekł wskazując na łoże: »To moja umiérająca córka; lekarze nie znając słabości, uratować jéj nie mogą. Powiadają, że się im jeszcze nic podobnego nie wydarzyło.«

Przerażenie ogarnęło podróżnych na widok umiérającéj. Zamglone oczy, schmurzone czoło, dech krótki, zsiniałe usta, skrzywione bolem rysy oblicza, jęki konania, wszystko okazywało, że ostatnia jéj godzina się zbliża. Kapłan, uważając obcych za lekarzy, usunął się z swojego miejsca, a wydobywszy z pod kołdry rękę dziewicy, podał Dorlajowi, który chociaż nie rozumiał się na tém, przyjął rękę, chcąc rodzinie choć tę małą sprawić pociechę. Ludovic zaledwo bliżéj przypatrzył się umiérającéj, stanął jak trup blady, jak gdyby piorunem rażony.

Drzwi się otworzyły i wszedł lekarz. Zwróciwszy się do księdza rzekł: »I jakże ojcze duchowny, potrafisz nam może wyjaśnić przyczynę téj tajemniczéj choroby?«

»Powiém, ile mi wiadomo,« odrzekł duchowny, »ale tylko wćpanu samemu.«

Podróżni chcieli się oddalić; ojciec wstrzymał ich, prosząc, by zostali. »Panowie napoiliście nadzieją serce moje,« przemówił starzec; »gdyście weszli do chaty, zdawało się mi, że pomoc przynosicie.«

»Nie znacie nas, ale nieszczęście zaprzyjaźnia ludzi.«

Zostali, a lekarz z księdzem wyszli na chwilę. Powróciwszy niebawem, lekarz zbliżył się do ojca i rzekł: »Ubolewałem nad tobą poczciwy starcze, lecz tu sztuka moja nic nie zdoła. Twoja córka umiéra z miłości.«

»Z miłości!« skrzyknął starzec, a blada, pomarszczona twarz jego zarumieniła się na te słowa; »z miłości!... ależ dziecko moje byłoby mi o tém powiedziało! to niepodobna.«

»Patrz,« mówił daléj lekarz i z pudełeczka wyjął szypułkę róży, na któréj jeden zeschły listek jeszcze tylko słabo się trzymał; »skoro ten listek odpadnie, już twojéj córki nie będzie na tym świecie.«

Scena ta odbywała się w oczach podróżnych. Ludovic zadrżał, zbliżył się do grona i zaczął wypytywać, azali nie wiadome nazwisko tego, którego młoda dziewica pokochała.

»Nazwy jego nie wiémy,« odrzekł kapłan, »Kytrie mówiła mi, że jéj saméj nie jest wiadomą.«

»Kytrie!« krzyknął Ludovic, »Kytrie umiéra! moja luba, kochana Kytrie!« Rzucił się na łoże i wołał ciągle: »Kytrie! odpowiédz...«

Dziewica zrobiła poruszenie, podniosła głowę, otworzyła zamglone oczy i rzekła: »Ach, ach... to... to... on!« Scisnąwszy go za rękę, padła zemdlona.

Obecni drzeli z trwogi i płakali, mniemając, że umiérająca już wyzionęła ducha. Lekarz przystąpił, ujął dziewicę za rękę i oświadczył, że nadzwyczajna zmiana zaszła w jéj pulsie, co gdy dłużéj potrwa, jest nadzieja wyzdrowienia. Dziewica raz jeszcze otworzyła oczy i pojrzała w koło, jak gdyby szukała kogoś.

Ludovic przystąpił, pocałował ją w rękę i rzekł: »To ja Kytrie, ja! kocham cię zawsze i przyjechałem do ciebie!«

Dziewica przyszedłszy zupełnie do zmysłów podniosła się i zapytała: »Tyżeśto!«

Ludovic pozostał przy jéj łożu, a Dorlay tymczasem rozpowiadał obecnym, co mu towarzysz przez drogę wyznał. Opowiadanie zakończył temi słowy: »Tak, onto jest, którego Kytrie od lat pięciu kocha.«

Dziewica wyzdrowiała, bo Ludovic nie odstępował jéj więcéj. — W kilka miesięcy potém głośno mówiono w Paryżu o weselu pułkownika Ludovic z Kytrie Wandejką; sam Napoleon kontrakt ślubny podpisał.

MYSZY W ISLANDYI.

Małe te zgrabne zwiérzątka odbywają często podróże przez potoki, a nawet przez rzéki dość znaczne. Wtedy tylko ośmielają się na wodę, gdy ta jest głęboka i cicha. Z suchego gnoju, który po polach zbiérają, budują okręcik. Gotowy ciągną ku rzéce te wszystkie myszy, które się w podróż wybiérają. Płynie ich razem cztéry, sześć, a dziesięć najwięcéj. Siedzą w okręgu tak obrócone, że głowy razem się stykają, a ogony w wodzie wiszą. Te zamiast wioseł im służą. W środku między sobą mają zwykle znaczny ładunek jagód, który na zapas zimowy przechowują. Przebywszy wodę piérwszém ich staraniem jest jagody w bezpieczne ukryć miejsce. Często także są tak nieszczęśliwo, że wraz z okręcikiem osiadają na dnie wody i rozbicie ponoszą, wtedy pływaniem ratując się z niebezpieczeństwa, swój zapas zimowy, tak sztucznie transportowany, stracić muszą.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

XI.

TOWARZYSTWO SCENICZNE PANA CASTELLI.

Występowanie dzieci na widownię teatralną nie jest nowością. W prywatnych towarzystwach jestto rozrywka i nauka dla dzieci, zabawa dla rodziców, krewnych, widzów; grają zwykle sztuki dla siebie umyślnie ułożone, odpowiednie celowi tego rodzaju zabawy. Ale dzieci nazajutrz po takim teatrze znowu idą do szkoły, znowu się bawią po swojemu, znowu są dziećmi. Gra sceniczna jest dla nich tém, czém gra w piłkę, bieganie lub przejazdka. Bawią się w teatr nie będąc aktorami, jak się bawią w musztrę nie będąc wojskowemi. Taka zabawa nie oburzy serca matki, nie zatrwoży sumienia nauczyciela, nie zaszkodzi wiekowi młodocianemu. Inna jest rzecz, kiedy dziecko występuje na scenę jako aktor, kiedy jest codziennie do publicznéj gry scenicznéj wprawiane, kiedy stan aktora, jest jego stanem. Wtenczas nie jestto już zabawa nauczająca, ale smutny skutek spekulacyi na dzieci, podwójny występek przeciw ludzkości i przeciw sztuce dramatycznéj.

Już od lat kilku posiada Paryż dwa teatra, w których dzieci są aktorami; otworzyła je chciwość, a utrzymuje nowość i niezwyczajność widowisk; jeden zaczął od kuglarstw i tak zwanych sztuk czarodziejskich w rodzaju Pinettego. Założyciel tego teatru p. Comte, zrobiwszy na zręczności swojéj majątek, rozszérzył swój zakład i połączył ze sztukami czarodziejskiemi widowiska sceniczne, w których występują same dzieci. Inny teatr tego rodzaju założony został pod nazwiskiem *Gymnase des enfans*. W obudwu założyciele to przynajmniéj mieli na uwadze, ażeby wielkość sceny i same sztuki odpowiednie były wiekowi i pojęciu dzieci. Ale oto nie dawno występuje nowy spekulant p. Castelli, zgromadza kilkadziesiąt dzieci, zajmuje obszérny i pustkami stojący teatr, zwany *Odeon*, i zapowiada, że dzieci-aktorowie będą na nim wystawiały wszystkie bez wyjątku sztuki.

Pozwalam sobie powtórzyć tu artykuł p. Janin, ogłoszony po piérwszéj wystawie tego nowego towarzystwa scenicznego:

»Nie znam smutniejszego widowiska, a razem okropniejszego nieładu, jak jest teatr pa. Castelli. Cztérdzieści nieszczęśliwych dzieci, oddawanych co wieczór w ofiarę dla tak zwanéj *zabawy publiczności*. Cztérdzieści dzieci tak dramatycznie wychowanych, a raczéj tak okropnie wyuczonych, że ta młodzież siedmioletnia i ta cztérnastoletnia zgrzybiałość, już jako tako umié wystawiać na publicznym teatrze wszystkie namiętności młodzieńcze, wszystkie namiętności starców. Tak jest, nie wiém jaka nielitościwa fatalność sprawiła, że oto cztérdzieści

dzieci, z których nie jedno zaledwie odsadzono od mamki, wystawia nie dopoznania: miłość, zazdrość, intrygi, skąpstwo, bohaterstwo i trwożliwość, wszystkie namiętności poziome i wzniosłe; dzieci te są zakochane, oświadczają sobie na wzajem uczucia miłosne, zawiérają śluby małżeńskie, mają już dzieci do swatania, gładko wymawiają dwuznaczniki nieprzyzwoite i robią igraszkę z wyrazów. I to są dzieci! W tém młodocianém towarzystwie sceniczném widzisz wielkie zalotnice dziewięcioletnie, śmieszne matki dwunastoletnie, starców zgrzybiałych zaledwie w trzynastą wchodzących wiosnę; nie brakuje mu żadnéj roli, posiada prawdziwych aktorów pod względem pojęcia, zręczności, nawyknień, krwie zimnéj, tak prawdziwych jak komedyjanci światowi, którzy od lat dwudziestu przestali być małoletniemi.«

»Ażebyście lepiéj sobie wyobrazili tę prawdziwie zastraszającą dojrzałość niewczesną, wiedzcie, że dzieci te nałożone są do grywania wszystkich sztuk bez wyjątku, znajdujących się w składzie *Teatru francuzkiego* i *Wodwilu*. Nie potrzebują, jak rówienniki ich, które płatne są przez kuglarza p. Comte, ażeby dla nich umyślnie pisano wodwile, albo stawiano teatr, odpowiedni ich wzrostowi. Nie zastraszyłoby ich nawet *Małżeństwo Figara*. Nie zastraszył ich *Odeon*, ta rozległa pustynia odgłośna, któréj nie mógł zapełnić sam słoń *Kiuny*. Na zaczęcie grały wodwil w trzech aktach: *Le Hussard de Feldsheim*, komedyją trzyaktową: *Les deux ménages*, i także trzyaktową operę komiczną: *Riquet à la houpe;* potém wszystkie tańczyły bardzo długi balet. I to wszystko jednego wieczora. — Wystawcie sobie więc małą trzystopową istotę, która ciągnie za sobą szablę, ma wąsy i przez dwie godziny utrzymuje, że jest huzarem Feldheimskim, powtarzając: *Do stu tysięcy piorunów!* i tym podobnie. Huzar ten proteguje miłostki małego Teodora i małéj Matyldy. Ale aktorowie siodmioletni tego towarzystwa scenicznego są już tak podstarzali, że dwie małe role chłopców, musiano oddać aktorkom, jak się to także zdarza na teatrze *Wodwilu*. Tak więc dzieciny te, pomimo swych siedmiu i czternastu lat tak się zestarzały przy świetle lamp, tak się zużyły za kulisą, iż nie ma już pomiędzy tymi dwunastoletnimi starcami dwojga dzieci z twarzą dosyć młodą, z głosem dosyć świeżym do oddania ról Teodora i Karola w sztuce *Huzara z Feldsheim*. Aktorki muszą się przebiérać za aktorów. Zaledwie się huzar nakłał, zaledwie panny Teodor i Karol każda swojéj kochance wszystkie oświadczenia miłosne zakończyły, już czém prędzéj muszą zmieniać ubior, przemieniać rolę, przechodzić z wodewilu rubasznego do komedyi rubasznéj, z komedyi mówionéj do komedyi śpiéwanéj. Nie myślał zapewne poczciwy Picard, kiedy pisał familijną komedyję *Deux ménages*, niegdyś powszechnie uwielbianą i razem z nim zmarłą, że na tym samym teatrze *Odeonie*, którego był jedyną podporą mocą swéj jędrności, łatwości i imaginacyi, kiedyś towarzystwo dziec, na prawdę zapowié jego komedyję, w któréi wyjąwszy styl i nadobność, najwięcéj podobnyj do Marivaux. I my sami zaledwie chcieliśmy uwierzyć własnym oczom, kiedy w miejsce dawnych pięknych dni i pięknych *Odeonu* oczu, w miejscu młodych aktorek, które poźniéj stały się tyrankami trajedyi i melodramu, ujrzeliśmy wchodzące wielkiemi drzwiami wielkich salonów tego wielkiego teatru małe stworzenia ubrane po męzku i po kobiécemu, podobniejsze z daleka do piesków wyuczonych, niż do ludzi. Zaledwie szczególniéj mogliśmy uwierzyć własnym uszom, kiedy z pod tych piersi sztucznych, z tych głosów przygasłych dał nam się słyszéć dialog téj komedyi, wymawianéj z towarzyszeniem najnadzwyczajniejszém gry wzroku i poruszeń ciała.«

Tu przytacza p. Janin z komedyi: *Deux ménages* dialog, grany przez dzieci, pełen najswawolniejszych wieku autora komedyi myśli.

»Uwalniam was,« mówi daléj Janin, »od opowiadania reszty bardzo pięknéj sztuki, która, jak wiécie, obraca się na portrecie damy, skradzionym przez małżonka, który jéj nie zna. Teraz pytam się, bo jużci nié ma dzieci do tego stopnia nieszczęśliwych, iżby przychodziły na świat skończonémi komedyjantami, jak sobie poradzano, ażeby wytłumaczyć znaczenie dialogu, zawikłaną intrygę i krzyżujące się miłostki sztuki tym małym komedyjantom, którzy koniec końcem chcą wiedzieć co grają i rozumiéć, co mówią? Nie wiém, czy się mylę, ale zdaje mi się, że ten, co ich do gry wkładał, miał do przebycia okropne chwile, kiedy małe aktorki jeszcze niewinne i niezepsute z uśmiéchem dziecinnym i na prawdę, pytania te zadawały swemu nauczycielowi: »Co to znaczy ubóstwiać żonę i być jéj niewiernym? Co nazywają powabem zmiany i kaprysu? Co to jest być niewierną dla próżności? Jakim sposobem można być niewierną? Jaka różnica między żoną a kochanką i t. d. — »Powiedz mi nauczycielu,« zapyta Karolinka, dziecina wprawiona do roli pani Hippolite, co znaczy zabezpieczyć sobie małe bankructwo i dla czego ten bankrut porzuca biedną dziewczynę? Co znaczy porzucać? Wytłumacz mi także nauczycielu, co to jest być dobroczyńcą aktorki z opery, która sprzedaje szal, i dla czego ta śpiewaczka straciła swego dobroczyńcę? Jakim sposobem ta mała aktorka z teatru *Varietés*, która utrzymuje swą matkę, znalazła dobroczyńcę? Co za związek tego dobroczyńcy z matką i jakim sposobem mogłabym znaleźć dobroczyńcę dla utrzymania méj matki?« Nieszczęśliwe dzieci musiały koniecznie zadawać te pytania swoim nauczycielom. Wiek dziecinny jest z natury ciekawy i

zapytujący. Najmniej ciekawe dziecko chce wszystko wiedzieć i trzeba mu koniecznie objaśniać wszystkie rzeczy, których nie może rozumieć. Ileż to razy najniewinniejsze, przykładnie i uczciwie pośród rodziny wychowane, na ręku matki trzymane dziecię, zagadnęło nas tysiącznemi pytaniami, na które trudno, ale trzeba było odpowiedzieć. Cóż dopiéro uczynicie, jeźli z dziecka będziecie chcieli miéć aktora? Cóż dopiéro, jeźli zamiast uczenia go pacierza, każecie mu uczyć się na pamięć rol komicznych i oświadczeń miłosnych? Co z niego zrobicie, jeźli obnażywszy je z dziewiczéj sukienki, postawicie je pośród gorejącego ogniska namiętności scenicznych? Naturalnie ta niewinna ciekawość rozbudzi się wtenczas nad miarę; okłaski widzów ockną w młodych sercach wszystkie miłości własnéj szalone próżności, które w nich dwadzieścia jeszcze lat powinny były drzémać, a jeźli zechcecie postawić te nieszczęśliwe istoty na wysokości aktorstwa, będziecie je musieli uczyć wszystkiego, z czém się przed dziećmi kryć trzeba, albo, co straszniejsza, będziecie świadkami jak dzieci nauki wasze będą odgadywać. W rzeczy saméj, dzięki ich teatrowi, przestały już być dziećmi, już dojrzały; co mówię? więcéj jak dojrzały, zostały aktorami, to jest ludźmi, przodkującemi wszystkim namiętnościom, tłumaczami najzwodniejszymi i najniebezpieczniéjszymi wszystkich namiętności. — Tak więc robić z dzieci komedyjantów, zbrodnią jest, chociażby się do tych okropnych przygotowań z największą brano ostrożnością. Jakżeż czy nie nazwiecie zbrodnią odbiérać dziecku wiek dziecinny, pozbawić je błogiéj niewiadomości, niewinnych śmiéchów, wesołości swobodnéj, wszelkiéj otwartości, wszelkiéj przyrody czystéj i pogrążać je w odmęt radości sztucznych, smutków wymuszonych, kłamstw bez końca i litości? Ani wątpić, że popełniacie wielką zbrodnię: odbiérać dziecku łzy prawdziwe, błogie perły, które na powiece zatrzymuje pocałowanie matki, dla tego, aby je nauczyć, jak ma płacz udawać; ściérać umszony szkarłat świeżych jak jagoda wdzięków i oblepiać twarz tak młodą sztucznem czerwienidłem; rozkazywać dziecku uśmiéch, spojrzenie, bicie serca; przenosić je nagle, nim jeszcze przebyło miłość rodziców i miłość braterską, do miłości kochanków: zaślubiać je co wieczór w obec parteru, dawać mu dzieci, które zaślubia i błogosławi; obdziérać je z szaty niewinności, i zamiast wygodnéj, chociaż ubogiéj sukienki, stroić je w jedwabie niezdrowe, koronki zapowietrzone, aksamity upiżmowane, obciążać młodą szyję fałszywemi dyjamentami i szklannémi perłami; dręczyć mu włosy, nogi, ręce, głos, duszę, serce, umysł, wzrok i wszystkie władze, które się w niém dopiéro rodzą, i które się zatrzymują, przestraszone tak szybkim swoim wzrostem; ręką przedajną porywać te młodociane rośliny z łąki, umajonéj kwiatami i zasadzać je w *trajbhauzie* teatralnym na to, żeby tam zgniły, za słońce dawać im dymiące lampy, za murawę deskę źle wychyblowaną, za gaj zielony drzewa malowane; marnować umyślnie tyle drogich własności, które potrzebowały tylko czasu, aby się rozwinąć i na jaw wystąpić w całym blasku, w całéj sile — nie jestżeto zbrodnia okropna, przerażająca i na nic nie przydatna.«

»I tym nieszczęśliwym dzieciom każą nie tylko uczyć się grania komedyj, spiéwania oper komicznych, ale jeszcze wprawiają je do tańcowania baletów. Przedsiębierca chce miéć pomiędzy niemi nie tylko swoje panny Mars, ale także swoje Taglioni. Nic nie brakuje temu teatrowi dziecinnemu. Obrabiają się w nim wszystkie namiętności we wszystkich postawach, we wszystkich ubiorach, pod haftami, pod sukniami dzisiejszéj mody, pod przeźroczystą gazą opery. Jak grają tak i tańczą te nieszczęśliwe istoty, z tą samą pewnością, na któréj widok strach bierze, z tą samą krwią zimną, która przeraża. Przybiegają na scenę trzymając się z całych sił na końcu palców i sześcioletnie dziecka z uśmiéchem prawdziwéj tancerki, wytrzymują odważnie przykre pozycyje na jednéj nodze. Stopy ich już zgrubiały i dostały z tańca kształtu potwornego. Wyżéj stopy widzisz kosteczki wyschłe, pokryte jedwabiem, i to ich nogi. Głowę mają szérszą od reszty ciała; plecy już się trochę nachylają ku ziemi, a z rąk, które mają być dla parteru powabem i zabawą, podobne do kościotrupów. Są pomiędzy temi dziećmi takie, które jeszcze nie mają zębów, sąto najmłodsze i razem najstarsze. Włosy spadają im na ramiona, ale nie jedno ma je już przyprawione. Tancerze mali, równie brzydcy, równie smutni, równie jak tancerki nie wiedzą jak się poruszać. Balet godny komedyi. Zawsze jestto jedna i ta sama parodyja gry teatralnéj, wykonywanéj przez dzieci, które mniéj są niż dzieci, a nie są ludźmi. Dzieci niezawodnie bez ojców i matek; dzieci na zawsze zgubione, nawet dla sztuki dramatycznéj, nawet dla tańca, dla którego nie będą miały sił, czucia, umysłu, młodości; prawdziwe karykatury z duszą i z ciałem, stracone dla społeczności.«

»Człowiek cokolwiek uczucia mający, wyrzuca sobie, że był widzem tak smutnego widowiska; zdaje mu się, że był spólnikiem tego okrucieństwa, które się niczém nie da usprawiedliwić.«

»Widziałem pieski wyuczone, poprzebiérane za dawnych haftowanych panów, ze szpadą przy boku, z wachlarzem w łapie i grały wybornie wiele długich komedyj, w których były i intrygi i miłostki: Pudle grały z całą powagą role ojców i matek; cienkie harty przypominały synów rozrzutnych i rozpustnych; mopsy wystawiały filutów;

Lizetka występowała w postaci finetki, żywéj i ciągle skaczącéj; pani jéj, Julija, byłto biały szpicek, brytan wystawiał kochanka wojskowego, lubiącego robić wiele hałasu; kundel był przyjacielem domowym; jakaś chuda, bez sierci i z zimna drżąca psina grała rolę poety; słowem, każdy pies miał tam swoję rolę, poważną albo komiczną, zabawną albo nudną i każdy odgrywał ją właściwie. Jakato ich była pamięć, jaka przytomność! A jakie oklaski! a przecie te do teatru wyuczone pieski sprawiały na mnie przykre wrażenie. Wyobrażałem sobie, ile te biedne pieski na przymusie cierpieć musiały i przewidywałem, jakaby byłaby ich radość, gdyby uwolnione od szpady, kurtek, kapeluszów i wszystkich teatralnych strojów, swobodnie biegać mogły, ten po równinie za jeleniem, ów w lesie za zającem, ten za swoim panem, ta na przechadzce przy swojéj pani. Kiedy na pieski uczone tak przykro było mi patrzéć, cóż chcecie, abym powiedział o dzieciach uczonych?«

Umieściłem tę recenzyję już dla dania próbki sposobu pisania pa. Janin, już dla tego, że w niéj zdaje mi się przebijać zmiana korzystna, zaszła w obyczajach dzisiejszego pokolenia Paryżanów. To co dawniéj zwanoby starym morałem, jest dzisiaj nowe i świeże; czegoby dawniéj żaden krytyk nie śmiał napisać, to czytane jest dzisiaj z upodobaniem i chciwie; czemu się starzy szydersko urągają, temu poklaskuje młode pokolenie. Zastanawia szczególniéj w téj recenzyi, że gorliwy obrońca czystości sztuki dramatycznéj, zawzięty nieprzyjaciel wodwilów i dram, nie tyle w niéj występuje za sztuką dramatyczną, ile za obyczajami. Po tak surowéj chłoście, po téj klątwie z talentem rzuconéj na teatr pana Castellego, zapewne nikt nie odważył się pójść na *Huzara z Feldsheim*, zapewne przedsiębierca najęte dzieci rozpuścił. Bynajmniéj, dzieci, jak grywały, tak grywają w *Odeonie*, a publiczność nie przestaje im poklaskiwać, jak poklaskuje ich krytykowi. Bo i to znamionuje dzisiejszą epokę, że wszystko, czy dobre czy złe, czytane jest z upodobaniem, widziane jest z zajęciem, aby tylko miało barwę świeżą, a kształt zgrabny; nikt zaś nie bierze najlepszéj nawet myśli tak bardzo za prawdę, jak dawniéj brano do przekonania i do serca myśli najgorsze, ale nowe. Pośród takiéj obojętności nie dosięga krytyka swego celu, owszem przeciwny sprawia skutek. Dla pa. Castelli była niewątpliwie pożądana, bo wielu, coby nie myślało pójść na jego teatr, idzie tam teraz dla zobaczenia widowiska, które ściągnęło tak mocne oburzenie wsławionego pisarza. Milczenie krytyki jest najsroższém potępieniem wszelkiego dzieła. Biada autorowi, artyście, przedsiębiercy, bohatérowi, o których nikt nic nie mówi. Doświadczenie przekonało o téj prawdzie, od lat trzech wojuje pan Janin z panem Scribe i jego *wodwilami;* każdy oddaje sprawiedliwość zręcznéj natarczywości, umiejętnéj strategii, zwycięztwom pa. Janin, a od lat 3ch pokonanym *wodwilom* i ich autorowi powodzi się jak najlepiéj. Uradowany gniewem krytyka zerwał się pan Castelli do pióra i wystąpił publicznie w obronie swego teatru. Jeźli mu wierzyć można, jest opiekunem ubogich i opuszczonych dzieci, ich nauczycielem, ich ojcem; jego teatr jest towarzystwem dobroczynności i szkołą dramatyczną. Na téj samej zasadzie mógłby wyuczyć dzieci do wykładania rozmaitych nauk i założyć akademiję, w któréj nauczycielami byłyby dzieci, a uczniami ludzie dojrzali.

P O M N I K I
Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego w Poznaniu.

Roku 1829 w Poznaniu, pod przewodnictwem arcybiskupa Wolickiego, zaczęto zbiérać dobrowolne składki na odświeżenie zniszczonych w kościele katedralnym pomników Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego. Było wtenczas życzeniem składkowych nie tylko przywrócić dawne sarkofagi, ale prócz tego wystawić z żelaza lub spiżu posągi dwóch rzeczonych królów i to, ile możności, na miejscu publiczném i otwartém. Przedstawioném to zostało rządowi pruskiemu jako hołd oddany krzewicielom chrześcijaństwa w Polszcze i Szląsku. Nie tylko, że rząd do tego się przychylił, ale król i jego rodzina, tudzież wielu urzędników przyczyniło się do téj składki, a pierwsi artyści berlińscy chętnie się podjęli wesprzeć swemi talentami to przedsięwzięcie. Rauch odlał model posągu, a pan Schinkel dał rysunek uozdobienia placu przed katedrą, gdzie takowe stać miały. Gdy atoli poźniéj postrzeżono, że fundusze nie wystarczały do wykonania tak obszérnego planu, poprzestano na wystawieniu w samym kościele kaplicy grobowéj na wzór Jagielońskiej w katedrze krakowskiéj. Na jednéj stronie ołtarza będą sarkofagi dwóch królów, naśladowane podług najwierniejszych opisów dawniéj istniejacych pomników. Z drugiéj strony stać będą posągi dwóch królów na téjże samej podstawie, za wzniesionym między niemi wielkim krzyżem, jako godło wiary, któréj byli krzewicielami. Sciany i sufit kaplicy ozdobione będą bogatem pozłacaniem i sztukateryją. Cała robota ma być ukończoną tego lata, a poręką jest w téj mierze gorliwość dzisiejszego naczelnika robót, Edwarda hrabi Raczyńskiego.

(Zbiéracz.)

— Ze Lwowa. —

JPan Karol Lipiński wyjechał dnia 26. b. m. w nową podróż artystyczną do Odessy.

Z Warszawy. Ważne nader dzieło dla języka polskiego jest pod prassą; tytuł jego: *Części mowy odmieniające się przez przypadki*, Felixa Żochowskiego, profesora filologii. Dzieło to udzielane najznakomitszym u nas gramatykom uzyskało ich pochwały. (G. Por.)

Dnia 3. b. m. rozstał się z tym światem Adam Maxymilian Kitajewski, dziekan i profesor b. k. A. Uniwersytetu w Warszawie.

W liczbie najnowszych historycznych pism rossyjskich godzien szczególnego spomnienia *Rękopis Suprasiski*, zawierający w skróceniu kroniki Nowogrodu i Kijowa. Jestto wyciąg ze starych kronik rossyjskich, znaleziony w klasztorze Bazylianów w Supraslu, koło Białegostoku, a teraz drukiem ogłoszony. — W Moskwie wydano: *Rękopis Filareta patryarchy*, ojca cara Michała, obejmujący dzieje Rossyi w czasie panowania fałszywego Dymitra i cara Bazylego Szujskiego.

O skrzypcach Mikołaja Sawickiego w Wiedniu. Pismo wiedeńskie *der Humorist* w dodatku swoim z d. 10. b. m. umieściło o tym ziomku naszym artykuł, z którego wyjmujemy następujące ważniejsze miejsca: »Skrzypce Sawickiego, oprócz pięknego składu i artystowskiéj doskonałości w budowie, wyszczególniają się mianowicie jędrnym, mocnym i nader dźwięcznym tonem. Ani wątpić, że przy postępach artysty wyrównają wkrótce skrzypcom najznakomitszych dotychczasowych mistrzów, jakoto: Stradunrego, Guarneriniego, Amatego, Ruggera, Magainiego, Guadaniniego i innych. Najsłynniejsi wiedeńscy wioliniści dają koncerta na robionych przez Sawickiego instrumentach, jakoto Pechatschek, Potte i t. d., a sam pan Lipiński dwoje skrzypców u niego zamówił. Z równą dokładnością, z jaką robi nowe, naprawia Sawicki najznakomitszych mistrzów popsute instrumenta, sztuką swoją wracając im wszystkie własności, jakie przez zepsucie się utraciły. Ma na to najzaszczytniejsze pismienne świadectwa od pierwszych wirtuozów na skrzypcach, a między innemi

od Paganiniego, który nikomu swoich skrzypców (roboty Józefa Guarnerinego) powierzyć nie chciał, lecz nie wahał się oddać ich Sawickiemu do naprawy i był w najwyższym stopniu tegoż robotą zadowolony, co mu w najpochlebniejszych wyrazach w liście doń pisanym oznajmił. — Mikołaj Sawicki urodził się we Lwowie i tu chodził do gimnazyjum, przez ojca swojego do duchownego przeznaczony stanu. Jako uczeń mieszkając przypadkowie u robiącego skrzypce, uczuł wielką skłonność do téj sztuki, a pracując z początku dla rozrywki, krótce temu zawodowi, nawet bez wiedzy ojca, całkiem się poświęcił. Poźniej udał się do Wiédnia, gdzie u wielu uzdolnionych mistrzow znalazł sposobność wykształcenia się, a wkrótce pozyskania sławy w swym zawodzie. Ma dopiero lat 39, może więc zdziałać wiele jeszcze pięknego, wiele wybornego w swéj sztuce.«

Wielu szanownych mężów we Francyi połączyło się w towarzystwo, mające kierować czytaniem mass. W Besançon, pod firmą: Gauthiera i spółki, założono wielką księgarnię, z której rozpowszechniono już tanie wydania pism: Bourdaloue, Massillona, Fenelona, Bossueta, Berglera, Guerina du Rocher i Fellera, wreszcie dzieło: *O naśladowaniu Chrystusa* i kilku ojców kościoła. Towarzystwo zamiérza teraz rozszerzyć swoję działalność, a odezwy jego znalazły wiele pochwał w Paryżu.

Czytamy w dziénnikach zagranicznych, że chłopczyna 5 lat mając popisywał się w Medyjolanie na skrzypcach symfonią z *Cenerentoli*. Nie napisano nam nazwiska tego nie dawno w kolebce będącego wirtuoza.

Drugi 10letni znowu chłopczyna, syn pastérza Vito Mangiamele z Syrakuzy, zadziwia teraz uczonych w Paryżu prędkiém rozwiązywaniem najtrudniejszych zagadnień matematycznych.

W Nr. 28. Rozm. donieśliśmy jak modnisie paryscy ubiegali się o wstęp do teatru w Wersalu w czasie ostatnich uroczystości i jak za to znacznie płacono. Podobnie działo się teraz w czasie pogrzebu króla angielskiego w Londynie, gdzie przepłacano za pozwolenie niesienia pochodni w orszaku pogrzebowym.

W Paryżu uwięziono nie dawno pewnego dobrze ubranego człowieka, imieniem Germet, który żebrał po ulicach. Szczególnie deputowanych zaczepiał. Przed sądem wyznał, że z nałogu trudni się żebraniem, i że zaprzestać go nie może, gdyż to mu już 10.000 fr. dochodu przyniosło. Germet ma żonę i dzieci, jest właścicielem domu w St. Cyr i przebywa bądź na prowincyi, bądź w Paryżu, gdzie w ładnym domu na wybrzeżu *d'Orsay* mieszka.

Nie dawno w okolicy Londynu umarł 79letni stary kawaler, który przez lat *pięćdziesiąt* do jednej zalecał się damy. Pewien rachunkowy człowiek obliczył, że zalotnik ten, chodząc do pani swojego serca przez powyższy przeciąg czasu, uszedł 19.840 mil. *Sit illi terra levis!*

Temi czasy na licytacyi w Londynie wystawiano na sprzedaż znaczną ilość wina Xeres, które rząd angielski posłał był na wyspę S. Heleny dla Napoleona, na czas krótki przed tegoż śmiercią, a które odtąd przez lat 17 stało w butelkach. Nie chcąc sprzedawać częściami, powierzono je do sprzedania kupcowi imieniem Hill, i oceniono na 1.000 funt. szt, a coby więcéj otrzymał, miało być jego nagrodą za podjęte trudy. Hill wyszedł doskonale na tém winie. Opisał w gazetach jego dzieje, nazwał je *nektarem Napoleona*, i oto jednego dnia sprzedał wszystkie butelki, wziąwszy za nie 12.000 funt. szt. Co za korzystna spekulacyja!

Profesor Mayer w Królewcu odgadł za pomocą nader mozolnych, ale oraz nauczających doświadczeń, tajemnicę natury pod względem wzrostu roślin. Podług niego od ósméj do dziesiątéj przed południem rośliny prędko rosną, od dziesiątéj do dwunastéj wolnieją, od dwunastéj do drugiej znowu wzrost przyspieszają, a potém wolnieją powtórnie. Przy wzroście swoim kierują się podług tych samych ustaw, podług jakich igła magnesowa ruch swój odbywa. U ludzi, tak pod fizycznym jakoteż psychicznym względem, te same także zachodzą zjawiska. Uczony Edwards wykrył przez doświadczenia, że siła ludzka podobnież wzrasta od siódméj z rana do piérwszéj po południu, a potém ubywa. Taki sam przypadek zachodzi z siłą umysłową i zapewne na długoletniém doświadczeniu wsparte owo dawne łacińskie przysłowie: *Aurora Musis amica.*

Osobliwe działo. W Ameryce wynaleziono działo, z którego w przeciągu minuty trzydzieści razy wystrzelić można. Próbowano go w bitwie przeciw Indyjanom Seminoleńskim we Florydzie i próba wybornie się powiodła. Pokazuje się, że sto ludzi z takiém działem tyle sprawić mogą, ile tysiąc ze zwyczajnémi. Jeszcze kilka odkryć tego rodzaju, a taktyka zupełnie upadnie.

Serce walecznego męża. Rodziny de la Tour d'Auvergne-Lauraguais i Gailland de Kersausie już od lat sześciu spór toczą o serce i oręż la Tour d'Auvergne, zwanego *piérwszym grenadyjerem Francyi*. Wszyscy są ciekawi jak się ta sprawa skończy, do któréj obie rodziny tyle ważności przywiązują.

Cud gospodarski. Przed kilkunastą laty twierdził jeden z doświadczonych gospodarzy, iż owies koło S. Jana siany i kilkakrotnie koszony, ażeby w kiść nie wyrastał, na drugi rok *w żyto się przemienia*. Pewien praktyczny gospodarz we Wrocławiu śmiał się z téj bajeczki, ale syn jego mniemał, że możnaby zrobić doświadczenie. W ogrodzie swoim uprawili jak najstaranniej w tym celu 60 stóp kwadratowych ziemi, wyczyścili i wybrali jak najuważniej, ażeby się ani ziarnko żyta nie zatraciło, i owies ten d. 24. czerwca r. z. posiano; ziarno nie puściło kulca, bo w jesieni od przymrozków ucierpiało. Przez zapomnienie zaniedbano także w przynależnym czasie kosić, i piérwszy pokos nastąpił, gdy owies już miał się sypać. Przy drugim pokosie, w jesieni, gospodarze byli przezorniejsi. Ojciec ciągle nie dowierzając już chciał kazać pole przeorać, ale syn prosił, ażeby się jeszcze wstrzymano i oto właśnie teraz żyto na zasianém owsem polu sypać się zaczyna.

Anegdota z życia hrabi Széchény. Hrabia Franciszek Széchény, będący w Węgrzech we wdzięcznéj pamięci, był czynnym przyjacielem ubogich, tych mianowicie, których stan lub wstyd od wzywania obcéj pomocy wstrzymywał. Opowiadają między innémi następujący rys jego dobroczynności: Pewien szlachcic stracił w procesie swój szczupły majątek. Ubolewano nad nieszczęśliwym, mówiono powszechnie o jego losie, ale nie było nikogo, ktoby mu w potrzebie podał rękę. Wiadomość o tém doszła także do zacnego hrabi i kazał przywołać szlachcica. »Opowiedz mi wćpan o swojém nieszczęściu,« rzecze do niego hrabia; »nie masz przyczyny rumienić się przede mną. Cóż ci zostało z twojego całego majątku?« — »Nic, tylko moje dzieci,« odpowiedział szlachcic z westchnieniem. »Idź wćpan do mojego komisarza,« mówił daléj hrabia, »on ci wypłaci tę całą summę, którą w procesie utraciłeś; pożyczam ci ją bez procentów. Wykup swoję wioskę i tak wychowuj dzieci, by sobie nadal same pomódz mogły. A gdyby przypadkiem potomkowie twoi przyszli do majątku, moi zaś podupadli, oddadzą im natenczas ten kapitał z procentem.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*